

HISTORIA JEDNEGO PRZYPADKU

Istnieje mądra zasada, że zwierzętom nie wypada wypowiadać się w kwestii zoologii, a uczestnicy wydarzeń historycznych powinni pozostawić ich opisywanie historykom. Tym bardziej tak kompetentnym jak Bartosz Kaliski. Zabieram jednak głos, by opisać historię jednego przypadku, a właściwie wypadku, który znacząco wpłynął na moje życie, a także na życie kilkudziesięciu co najmniej osób.

Bartosz Kaliski rozpoczyna swój szkic od opisanego nastrojów, jakie panowały wśród części młodej inteligencji po stłumieniu przez władze protestów marcowych. Opisuje je bardzo trafnie. Ja w wydarzeniach samego Marca udziału nie brałem. W dniu wiecu na Uniwersytecie Warszawskim, który zakończył się pałowaniem studentów, i nie tylko studentów, byłem w schronisku w Alpach, na Col de la Fourche, gdzie z maleńkiego radia usłyszałem wiadomość: „Varsovie en colère”. Następnego dnia mieliśmy atakować Filar Narożny Mont Blanc. Z ataku nic nie wyszło, ale nie ze względu na wydarzenia w Warszawie, lecz na pogodę.

Gdy po kilkunastu dniach znalazłem się z powrotem w Polsce, dowiedziałem się, że zostałem usunięty ze studiów. Nie potrafiłem zrozumieć dlaczego i dopiero moja ówczesna koleżanka ze studiów dziennikarskich Janka Paradowska mi wyjaśniła, że pytano ją – jako krakowiankę – „jak ten Kozłowski się wcześniej nazywał”. Był to czas, gdy wielu moich przyjaciół odjeżdżało z Dworca Gdańskiego z dokumentami podróży w jedną stronę. Nie mogłem się z tym pogodzić, jak również z tym, że w moim kraju dzieli się ludzi ze względu na pochodzenie rasowe. Dużo o tym dyskutowaliśmy, oczywiście w wąskich gronach. Rzucano różne pomysły: wydawania podziemnego pisma, akcji ulotkowych. Wszystko jednak rozbijało się o brak środków, zniechęcenie, niedostatek możliwości organizacyjnych i technicznych. Konkluzja była jednoznaczna. Jeżeli coś można robić, to tylko z zagranicy.

Ponieważ zostałem mianowany zaocznie honorowym Żydem, doszedłem do wniosku, że trzeba też emigrować, tym bardziej że czułem na plecach oddech Służby Bezpieczeństwa. Sposobem na wyjazd była wyprawa Klubu Wysokogórskiego do Norwegii; specjalnie zadbałem o to, by wyrobić sobie paszport prywatny, a nie służbowy, gdyż nie chciałem, aby koledzy z klubu mieli po moim „wyborze wolności” jakieś przykrości w kraju.

Potem była kopalnia węgla na Spitsbergenie (z czegoś na emigracji trzeba żyć...), zakup małego samochodu i pomysł, aby przed emigracją za ocean, która trwać mogła bardzo

MACIEJ KOZŁOWSKI

dr, absolwent archeologii śródziemnomorskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim i dziennikarstwa na Uniwersytecie Warszawskim. Współpracownik paryskiej „Kultury”, organizator przemytu książek do Polski; w 1969 r. aresztowany, skazany na 3,5 roku więzienia. W latach 1980–1981 redaktor naczelny „Wiadomości Krakowskich”, pisma Regionu NSZZ Solidarność Małopolska, 1982–1990 w redakcji „Tygodnika Powszechnego”. Od 1990 r. dyplomata, kolejno zastępca ambasadora RP w Waszyngtonie, wiceminister spraw zagranicznych, ambasador RP w Izraelu. Autor książek: *Krajobraz przed bitwą* (1986), *Między Sanem a Zbruczem* (1990), *Sprawa Leona Kozłowskiego* (2005).

długo, pożegnać się z matką. Z uwagi na pełną konspirację, w obawie o wstrzymanie paszportu, nie mówiłem jej o planach stałej emigracji. Wymyśliśmy, że zobaczymy się w Pradze. Z Paryża – gdzie spotkałem się z Jerzym Giedroyciem, z którym w istocie mówiliśmy o tym, co można by zrobić, ale jeszcze bardzo mgliście i niekonkretnie – pojechaliliśmy z Andrzejem Mrozem do Bolonii, do mojej siostry Barbary. Po kilku dniach ruszyliśmy do Czechosłowacji; tuż przed świętami mieliśmy spotkać się z naszą mamą w Smokowcu i stamtąd pojechać na Wigilię do Pragi.

Umówiliśmy się, że najpierw ja będę prowadzić samochód, potem Andrzej. Moja siostra cały czas spała z tyłu na siedzeniu. Pogoda była wyjątkowo paskudna. Padał marznący deszcz, było ślisko. Droga na granicę między Węgrami a Słowacją zajęła nam kilkanaście godzin. Austrię musieliśmy omijać, bo nie mieliśmy wiz. Gdy wreszcie znaleźliśmy się na punkcie granicznym, byłem tak zmęczony, że marzyłem wyłącznie o śnie. I chyba pod wpływem tego zmęczenia, a także jakiejś dziwnej intuicji postanowiłem się rozstać z Andrzejem i Bašką. Niech sami jadą do Smokowca, ja i tak prowadzić nie będę, pojedę pociągiem do Pragi i przygotuję Wigilię. Po niedługiej dyskusji plan został zaakceptowany i nad ranem się rozstaliśmy. Do dziś zastanawiam się, dlaczego to zrobiłem. Ta zupełnie podświadomie podjęta decyzja zapewne uratowała mi życie.

Gdy ja jechałem pociągiem do Pragi, Andrzej Mróz – prowadząc na wąskiej szosie, w padającym śniegu i mgle – czołowo zderzył się z ciężarówką. Wiadomość o tym skomplikowaną i długą drogą (w tamtych czasach nie było telefonów komórkowych) dotarła w końcu do mnie do Pragi. Musiałem podjąć skomplikowane zabiegi logistyczne – była wszak Wigilia – ale jeszcze przed pierwszą gwiazdką udało mi się dotrzeć do nemocnicy, czyli szpitala, w Bańskiej Bystrzycy, dokąd zawieziono ofiary wypadku i przybyła też ze Smokowca moja matka.

Gdybym przypadkowo najpierw zobaczył wrak samochodu, a nie ofiary wypadku, szukałbym ich zupełnie gdzie indziej niż w szpitalu. Cała górna część „garbusa” od maski po silnik została całkowicie

zniszczona. To, że oboje – prowadzący i pasażerka – przeżyli, wynikało z niezwykle szczęśliwego zbiegu okoliczności. Barbara leżała zwinięta na tylnym siedzeniu. Jedyne obrażenia, jakie odniosła, to uraz kręgosłupa, niezbyt – jak się potem okazało – groźny. Gorzej było z Andrzejem Mrozem. Przeżycie zawdzięczał temu, że nikt nie siedział na prawym siedzeniu. W momencie zderzenia intuicyjnie położył się na prawym, pustym siedzeniu – i tak ocalał. Nie zabrał jednak lewej ręki z kierownicy. Dłoń została zmiażdżona. Wydawało się, że nigdy nie odzyska w niej sprawności. Ale znów w sukurs przyszedł przypadek. Okazało się, że jeden z chirurgów w Bańskiej Bystrzycy jest specjalistą od chirurgii dłoni. Po serii skomplikowanych operacji istniała nadzieja, że sprawność w ręce powróci. Konieczna była jednak długa, skomplikowana i kosztowna rehabilitacja. Z oczywistych względów nie była ona możliwa w Czechosłowacji, tym bardziej w Paryżu. Pozostała Polska.

Zarówno Andrzej, jak i ja byliśmy zdecydowani na emigrację. W ten sposób narodził się pomysł nielegalnego przejścia przez góry do Polski, a potem podobnego powrotu do Czechosłowacji i dalej do Paryża.

Po dziesięciu dniach od operacji Andrzej czuł się w miarę dobrze, jednak rękę miał wciąż na temblaku. Było oczywiste, że muszę mu towarzyszyć w przejściu do Polski. Pożegnaliśmy zatem Barbarę, która wracała do Włoch, i ruszyliśmy z Andrzejem w Tatry. Długo zastanawialiśmy się nad trasą. Najłatwiejsza, czyli okolice Łysej Polany, wydawała się zbyt ryzykowna. Za dużo kręciło się tam pograniczników po jednej i drugiej stronie. Przejście przez wysokie góry przy stanie Andrzeja, wciąż mocno poobijanego po wypadku, było trudne i ryzykowne z innych powodów. Kompromisem okazały się Tatry Zachodnie i niewielki szczyt o nazwie Grześ. Od ostatniego przystanku autobusowego po stronie słowackiej mieliśmy tylko trzy godziny marszu. Zejście po stronie polskiej do schroniska na Polanie Chochołowskiej zajmowało półtorej godziny. Ze względów bezpieczeństwa postanowiliśmy przejść granicę nocą i pojawić się w schronisku wraz z pierwszymi turystami.

Mieliśmy dodatkowe szczęście. Pogoda była piękna, śnieg zmrożony, pełnia księżyca. Andrzej, gdy tylko poczuł zmrożony śnieg pod wibrami, od razu poczuł się lepiej. Wieczorem byliśmy w Krakowie. I to właśnie w Krakowie, na powitalnym party u mnie w domu, gdzie spotkałem się z Maćkiem Włodkiem, narodził się pomysł przerzutu przez Tatry materiałów z kraju i książek wydanych na Zachodzie.

Gdyby nie wypadek na szosie do Smokowca, nie byłoby zapewne następnych wypraw do Czechosłowacji. Wszak kolejny wyjazd – tym razem samochodem narzeczonej Mroza, wyładowanym książkami – był konieczny, aby odebrać Andrzeja po rehabilitacji.

Jeszcze jedna glossa do tekstu Bartosza Kaliskiego. Oczywiście nie mogę tego stwierdzić z całą pewnością, ale wydaje mi się, że wpadka majowa była też dziełem zupełnego przypadku. Wyjazd – tym razem pożyczonym Citroënem DS – przygotowaliśmy dość starannie. Książki schowaliśmy pod podłogą bagażnika, w miejscu na zapasowe koło (to był element ryzyka – zakładaliśmy, że nie złapiemy gumy). Przed wyruszeniem wpadłem na pomysł, aby troszkę nadłożyć drogi i pojechać przez Maisons-Laffitte. Gdy już żegnaliśmy się z Księciem i panią Zofią Hertz, zajechał samochód jej męża Zygmunta. Właśnie wracał z drukarni ze świeżym nakładem książki Witolda Jedlickie-

go *Chamy i Żydy*, wyciągnął z bagażnika jedną paczkę – 10 egzemplarzy – i wrzucił do naszego bagażnika.

Tą właśnie paczką zainteresowali się celnicy na czechosłowackim przejściu granicznym. Zaczęli wypytywać, co to za książki, gdzie je wieziemy itd. Zapewne w tym czasie porozumieli się ze swoimi służbami. Było to akurat w dzień po zmianie władzy w Czechosłowacji: Alexandra Dubčeka zastąpił Gustáv Husák. Może na skutek tej zmiany doszło do poinformowania o naszym wjeździe polskiej Służby Bezpieczeństwa... O tym, że na granicy nic o nas nie wiedzieli, świadczy fakt, że poza tą jedną paczką dorzuconą w ostatniej chwili przez Zygmunta Hertza pozostałych dobrze schowanych książek celnicy nie znaleźli.

W pamięci utkwiała mi rozmowa z Asią (Marią) Tworzkowską. Co robić? Jechać dalej czy zawracać (oczywiście przez inne przejście graniczne)? Postanowiliśmy dotrzeć do Pragi i tam zapytać dobrze zorientowanych przyjaciół, czy wpadka na granicy może mieć dalsze konsekwencje. Nastrój w Pradze po przewrocie panował marny, lecz do dziś pamiętam słowa Jiříego Lederera: „Sytuacja nie jest dobra, ale do tego, żeby u nas zaczęto aresztować, to przecież nie dojdzie”. Po kilku tygodniach Jiří tak jak i my znalazł się w więzieniu.